

Kiedy moi rodzice się rozeszli, nie wiedzieli, co zrobić ze mną. Mama nalegała, żebym zamieszkała razem z nią. Tata upierał się, żebym zamieszkała u niego. Ani przeprowadzka do nowego domu Mamy, ani do nowego domu Taty wcale mi się nie uśmiechały. Chciałam, żebyśmy wszyscy troje zostali w naszym starym domu, w Morwowej Chatce. A właściwie wszyscy czworo, wliczywszy moją najmilszą przylepkę, nakrapianą króliczkę z Leśnej Rodziny, o imieniu Rzodkiewka.

O to, kto będzie sprawował nade mną pieczę, toczyły się zażarte spory. Z początku sądziłam, że chodzi o pieczeń — nie cierpię pieczeni i nie nawidzę, kiedy się mnie zmusza, żebym jej spróbowała, na samą myśl o przełykaniu wstrętnej, tłustej skóry wzdrygam się z obrzydzenia.

Mamę, Tatę i mnie ten rozwód kosztował mnóstwo nerwów. Czułam się tak, jakby to nie małżeństwo moich rodziców, ale jakbym ja sama rozpadła się na dwie połowy. Jedna z nich chciała stanąć po stronie Mamy, lecz drugie pół wolało trzymać stronę Taty. Położenie Rzodkiewki było o wiele prostsze — Rzodkiewka po prostu trzymała się ze mną. Mieszka w mojej kieszeni, dlatego nigdy nie ulegało wątpliwości, kto będzie sprawował pieczę nad nią.

Okazało się, że jedynym wyjściem z sytuacji jest wizyta w poradni rodzinnej, co wydawało się trochę bezsensowne, bo przecież ani Mama, ani Tata nie chcieli już dłużej być rodziną. Pani psycholog z poradni zaczęła mnie zagadywać. Starła się zachowywać bardzo swobodnie i przyjacielsko, ale wiedziałam, że zależy jej tylko na tym, żeby rozwiązać nasz problem. W swoim gabinecie pani psycholog trzymała zestaw laleczek: były tam lalka-mama i lalka-tata oraz cała gromadka większych, mniejszych i zupełnie malutkich lalek-dzieci. Pokazała mi je

i zachęcała, żebym się nimi pobawiła, ale ja tylko dałam lalkowej mamie i lalkowemu tacie kuksańca w brzuch i oświadczyłam, że nie zamierzam się bawić jakimiś głupimi zabawkami.

Pani psycholog zauważyła jednak, że manipuluję przy czymś w kieszeni i dostrzegła Rzodkiewkę. Kiedy czuję się trochę nieswojo, mam zwyczaj mocno ścisnąć Rzodkiewkę w ręce.

— Ojej, jaka śliczna przytulanka! Czy mogłabym ją obejrzeć? — zapytała pani psycholog tym idiotycznym, przymilnym tonem, którym dorośli przemawiają zawsze wtedy, kiedy chcą pozyskać twoją sympatię.

— To nie jest przytulanka, tylko maskotka — sprostowałam. Nie miałam najmniejszej ochoty przedstawiać jej Rzodkiewki, ona należy do mnie i nie pokazuję jej pierwszemu lepszemu. Musiałam jednak powierzyć Rzodkiewkę ciekawskim paluchom pani psycholog, która rozpięła jej ubranko i wyjątkowo bezceremonialnie przewróciła ją do góry nogami.

— Jak ma na imię ten króliczek? — spytała.

Można by pomyśleć, że mam dwa lata, a nie dziesięć. W odpowiedzi wzruszyłam tylko ramionami.

— Nazywa się Rzodkiewka — wtrąciła Mama. — Andrea bawi się nią od lat. Rzodkiewka jest bardzo ważnym członkiem naszej rodziny.

— To ja kupiłem ją dla Andrei, jako drobny podarunek, tak bez okazji. Lubię sprawiać mojej córeczce małe przyjemności od czasu do czasu — włączył się Tata.

— Przecież to wcale nie ty podarowałeś Rzodkiewkę Andrei! Kupiłam ją któregoś roku na Gwiazdkę! — oburzyła się Mama.

— Niemożliwe, tego królika kupiłem ja, w sklepie na rogu, pamiętam, jakby to było wczoraj...

— W sklepie na rogu w ogóle nie sprzedają maskotek z Leśnej Rodziny! Rzodkiewkę kupiłam w centrum, w sklepie z zabawkami, i...

Wyrwałam Rzodkiewkę z rąk pani psycholog i delikatnie zatkałam jej uszy. Rzodkiewka nie może słuchać, kiedy moi rodzice się kłócą.

— To naprawdę nieistotne. — Pani psycholog próbowała załagodzić spór, nie przestając uśmiechać się do Rzodkiewki. — Jak się masz, Rzodkiewko — powiedziała, patrząc prosto w jej futrzany pyszczek.

Spojrzałam na nią spode łba. Owszem, dla mnie Rzodkiewka jest jak najprawdziwsza, ale nie cierpię, kiedy dorośli udają, że jest prawdziwa.

— Myślę sobie, że musi być ci trochę smutno, miła Rzodkieweczko, i pewnie martwisz się, gdzie będziesz teraz mieszkać — powiedziała pani psycholog.

Ale Rzodkiewka trzymała buzię na kłódkę.

— Wiemy już, czego życzą sobie Mama i Tata, ale czego chciałabyś ty, Rzodkieweczko? — nie poddawała się pani psycholog.

Rzodkiewka nie odezwała się ani słowem.

— Podejrzewam, że jest trochę nieśmiała — uznała pani psycholog. — Może wstydzi się zabierać głos w obecności Mamy i Taty?

I poprosiła rodziców, żeby na kilka minut zostawili nas same. Mamie i Tacie było to niezbyt na rękę; obydwójce nie odrywali ode mnie oczu. Wicie, jak to jest na WF-ie, kiedy pełnicie funkcję kapitana i selekcjonera drużyny i każdy chce zostać przez was wybrany pierwszy. „Wybierz mnie”, mówił wzrok Mamy. „Mnie, mnie!”, mówiło spojrzenie Taty. Spuściłam oczy i wpatrywałam się w Rzodkiewkę, dopóki rodzice nie wyszli z gabinetu.

— Biedna Rzodkiewka. To wszystko musi być dla niej naprawdę trudne, prawda? — zagażała pani psycholog.

Rzodkiewka i ja milczałyśmy jak zakłète. Pani psycholog także na moment umilkła. Mama i Tata pod drzwiami również. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie podsłuchują, ale po chwili usłyszałam, że znowu się kłóca. Z początku wymieniali uwagi szeptem, lecz później puściły im nerwy i zaczęły się sprzeczać na całego.

— Ojej... — westchnęła pani psycholog — Cóż, Rzodkiewiczko. Wyobraź sobie, że to jest Mama. A to — Tata — ustawiła te okropne lalki na przeciwnych końcach biurka. Wyciągnęła klocki i zbudowała z nich dwa małe domki, jeden dla lalkowej mamy, a drugi dla lalkowego taty. Wzięła z moich rąk Rzodkiewkę i postawiła ją pośrodku, po czym spojrzała na mnie. — Andreo, gdzie chciałyby zamieszkać Rzodkiewka? Czy chciałyby wprowadzić się do domku A? — tu wskazała na domek lalki-mamy. — A może wolałyby jednak domek B? — i wskazała domek lalki-taty.

— Rzodkiewka chce mieszkać w domku C. W Morwowej Chatce, tam, gdzie mieszkała dotąd, razem z Mamą, Tatą i ze mną — odparłam.

— Wiem o tym. Ale w tej sytuacji to niemożliwe, niestety. Nie ułożyłoby im się, posłuchaj tylko Mamy i Taty — powiedziała pani psycholog ze smutkiem. Teraz już na siebie krzyczeli. — Razem nie będą szczęśliwi, chyba potrafisz to zrozumieć, prawda, Andreo? Lecz to nie zmienia faktu, że oboje bardzo cię kochają i chcą dla ciebie jak najlepiej. Jak sądzisz, gdzie ty i Rzodkiewka będziecie się czuły najlepiej? W domku A? — znowu wskazała na domek lalkowej mamy. — Czy w domku B? — teraz przyszła kolej na domek lalkowego taty.

Spojrzałam na domek A. Potem popatrzyłam na domek B. Zerknęłam na Rzodkiewkę. Kierowana moją ręką, zrobiła kilka kroków w kierunku pierwszego domku — i zaraz ruszyła w przeciwną stronę. Wędrowała tak po biurku w tę i z powrotem.

— Rzodkiewka upiera się przy domku C. Ale skoro nie może tam dłużej zostać — chociaż ja upieram się, że jednak mogłaby — w takim razie chciałyby zamieszkać w domku A i w domku B.

— Rozumiem — powiedziała pani psycholog. — Masz na myśli to, że ona chciałyby mieszkać tydzień tam, tydzień tu?

I właśnie tak się stało. Rzodkiewka mieszka u mnie, w mojej kieszeni, i nie musi się o nic martwić, szczęściara. Tymczasem ja jeden tydzień spędzam u Mamy, a drugi u Taty. Z pozoru jest to proste jak abecadło, lecz ja mam na ten temat własne zdanie.



jak Andy

Nazywam się Andrea West, ale wszyscy wołają na mnie Andy. Wszyscy z wyjątkiem mojej szczonej, przyrodniej siostry, Katie, która nazywa mnie Andzią-Pandzią — i wszyscy jak jeden mąż twierdzą, że to po prostu urocze. Katie specjalizuje się w byciu uroczą. Jesteśmy rówieśniczkami — ściśle rzecz biorąc, ona jest o pięć dni starsza — ale Katie ledwie dosięga mi do pasa. Jestem wysoka jak na swój wiek, a ona jest wyjątkowo malutka. Nikt nie uwierzyłby, że jest

dziesięciolatką, obcy ludzie oceniają jej wiek na co najwyżej siedem lub osiem lat, a Katie dosłownie wychodzi z siebie, żeby nie wyprowadzić ich z błędu. Trzepocze rzęsami wielkich, błękitnych oczu, marszczy swój zgrabny, różowy nosek i zaczyna mówić cieniutkim, miodowym głosem aniołeczka. Wszyscy rozplývają się z rozczulenia i dosłownie jedzą jej z ręki. Tymczasem Katie tylko udaje niewiniątko. Tak naprawdę jest starą cwaniarą.

Jest rozpuszczona jak dziadowski bicz, ma nawet swój własny telewizor i wideo. Kiedy przypada tydzień, który spędzam z Mamą, muszę mieszkać w pokoju Katie. Za każdym razem Katie zastrzega sobie prawo wyboru programu, i to zawsze ona decyduje, jaki film włączyć. Jest posiadaczką sporej wideoteki, w tym kilku dosyć imponujących, przerażających i krwawych horrorów, o których jej tata nie ma pojęcia, bo Katie dla niepoznaki trzyma je w pudełkach po filmach z przygodami Troskliwych Misiów. Ma także standardową kolekcję baśni Disneya oraz kasetę z nagraniami z cyklu *Zobacz to z mamą*. Znaście ten program? Prawdę mówiąc, jest trochę infantylny, przeznaczony dla małych dzieci; moi rodzice oglądali go w telewizji całe wieki temu. Występuje w nim śmieszna kukielka o imieniu Andy Pandy. Obejrzałam tę kasetę razem z Ka-

tie i właśnie wtedy zaczęła mnie przezywać Andzią-Pandzią.

Nie mogłam tego znieść, więc kazałam jej zamknąć dziób, ale ona ani myślała, musiałam zatem przemówić jej do rozsądku ręcznie. Na wzajemnym okładaniu się czym popadnie przyłapała nas moja Mama i wpadła w furję. Do Katie nie miała żadnych pretensji, lecz z miejsca wsiadła na mnie:

— Jak mogłaś uderzyć biedną Katie?! Nie wierzę własnym oczom, skąd u ciebie tyle agresji? Jesteś od niej dwa razy większa! Nie ścierpię tak ohydneho znęcania się nad słabszymi, co to, to nie! Wstyd mi za ciebie okropnie. Katie zadała sobie tyle trudu, żebyś czuła się u niej jak u siebie w domu, a ty tak się jej odwdzięczasz!

Miałam straszną ochotę, żeby przyłożyć Mamie, tak jak przedtem Katie.

— To niesprawiedliwe, nie wiesz wcale, jaka ona jest — zaszlochałam, co postawiło mnie w roli mazgającej się, głupiej skarżypyty.

Wymaszerowałam z pokoju i zamknęłam się na klucz w łazience, mocno ściskając w ręku Rzodkiewkę. Siedziałyśmy tam przez całą wieczność i nawet kiedy w końcu wyszłyśmy, do samego wieczora nie odzywałyśmy się do nikogo. Mama próbowała mnie udobruchać, gdy

ja i Rzodkiewka kładłyśmy się spać, ale nie przemówiłam ani słowem, przecież szczerząca się złośliwie w ciemnościach Katie mogłaby usłyszeć.

Minęło kilka dni, zanim nadarzyła się okazja, żebyśmy wreszcie mogły pobyć same, tylko Mama i ja. Wujek Peter został wówczas do późna w pracy. Tak naprawdę Peter nie jest wcale moim wujkiem, to mój wstrętny ojczym, którego nie cierpię z całego serca. Nie mogę pojąć, co też Mama w nim widzi. Przyglądałam mu się bacznie, ale za każdym razem dostrzegam tylko wielkiego, włochatego pawiana. Cały jest porośnięty gęstym, czarnym włosiem, zupełnie jak pawian. I ma szkaradną, spłaszczoną twarz, też całkiem jak pawian. Wprawdzie nie stwierdziłam tego naocznie, ale jestem gotowa się założyć, że jego pupa jest jaskrawoczerwona, jak to u pawianów.

Paula wyszła akurat do przyjaciółki, Graham zamknął się u siebie, żeby pograć na komputerze, a Katie była na lekcji tańca klasycznego.

— Więc zostałyśmy tylko we dwie, łobuziaku — stwierdziła Mama. — To co robimy?

Wzruszyłam ramionami, udając, że pochłania mnie oglądanie telewizji. Ciągle byłam odrobinę naburmuszona, ale Mama przysiadła obok na kanapie i otoczyła mnie ramieniem. Z początku siedziałam sztywno, jakbym połknęła kij, lecz

Mama wcale się nie zrażała i w końcu przytuliłam się do niej. A nawet wpakowałam się jej na kolana. Moja Mama jest drobnej budowy, ze mnie natomiast wyrosło wielkie dziewczysko, więc pewnie trochę ją przygniotłam, ale najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało.

— Słoneczko moje, rozchmurz buzię — powiedziała Mama, bawiąc się moimi włosami i usiłując zapleść je w maleńkie warkoczyki.

Zapuszczam włosy, ale wlecze się to w nieskończoność — jeszcze nawet nie sięgają ramię. Za to Katie ma lśniące, kruczoczarne loki aż do pasa.

— To niezwykle rzadkie połączenie — zwierzyła mi się kiedyś z nieskrywanym zadowoleniem. — Czarne włosy i błękitne oczy. Wdałam się w moją matkę.

Kiedy tylko wspomina o swojej matce, robi to zawsze ze szczególnym namaszczeniem i głosem nabrzmiałym łzami, zupełnie jakby jej mama zmarła zaledwie przed tygodniem i z tego tytułu Katie należały się litość i współczucie. Tak naprawdę mama Katie umarła bardzo dawno temu, i Katie pewnie nawet jej dobrze nie pamięta. Może wcale nie wiedziałyby, że jej mama miała błękitne oczy i czarne włosy, gdyby nie kolorowe zdjęcie w srebrnej ramce, stojące na parapecie.

Moje oczy są brudnobrązowe, podobnie jak moje włosy. Trochę to przygnębiające.

— Wcale nie mam ochoty się rozchmurzyć — mruknęłam, ale nie ruszyłam się z kolan Mamy.

— O co wam poszło ostatnio, kiedy tak się posprzeczałyście z Katie? — spytała Mama.

— Przeżywała mnie.

— Jak?

— Andzią-Pandzią.

— To przecież nic strasznego! — zaśmiała się Mama.

— A właśnie, że tak — odburknęłam i zsunęłam się z jej kolan z powrotem na kanapę.

— Andzia-Pandzia. Całkiem sympatyczne przezwisko.

— To z programu telewizyjnego.

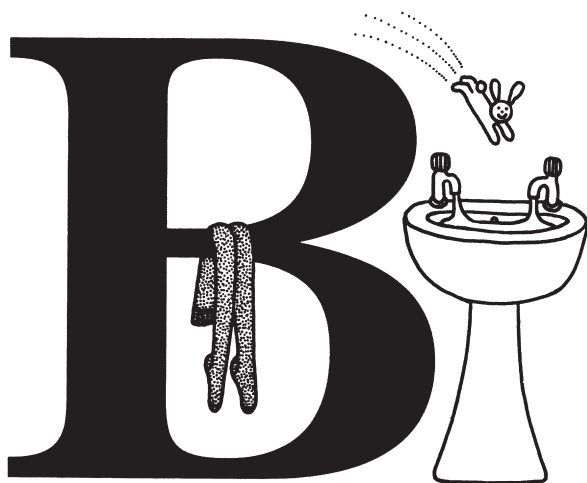
— Wiem, wiem. Ale Andy Pandy jest bardzo zabawny, to pozytywna postać. Może tylko jest odrobinę zbyt uległy i bojaźliwy, ale przecież pod tym względem nie przypominasz go ani trochę. Dlaczego nie odpłacisz Katie pięknym za nadobne i nie podokuczasz jej trochę, przezywając ją Laleczką Lou? Tylko się nie biczcie, na to nigdy nie pozwolę.

— Nic nie rozumiesz.

— Och, mamy przeważnie nic nie rozumieją — uśmiechnęła się Mama, wichrząc mi włosy.

— Może obejrzymy razem *Sąsiadów*, chcesz?

Podkręciła dźwięk. Uznałam, że nie ma sensu tłumaczyć jej całej tej historii z Andym Pandym. Andy Pandy, Miś i Laleczka Lou spędzają zwykle czas na różnych głupiutkich zabawach, a każdy program kończy się tak, że niemożliwie przesłodzony kobiecy głos oświadcza: „Czas do domu”. Wtedy Andy musi wrócić do swojego piknikowego koszyka, a aktorka odśpiewuje specjalną Pożegnalną Piosenkę. Kiedy Katie przeżywa mnie Andzią-Pandzią i śpiewa mi słodkim głosem tę samą Pożegnalną Piosenkę, czuję się tak, jakby na mnie pluła. Ponieważ Katie dobrze wie, że ja już nie mam domu.



jak bajeczny basen dla baraszkujących Rzodkiewek

W domu przy Albert Road jest naprawdę ciasno. Dom należy do Petera Pawiana, którego przezwalałam złośliwie swoim macochem. Nigdy nie nazwę go wujkiem; nie zwracam się też do niego po imieniu, po prostu Peter, chociaż on rzeczywiście j e s t prosty. W ogóle się do niego nie zwracam, odzywam się do niego najrzadziej, jak to tylko możliwe.

Denerwuje mnie to, jak Mama zwykle z nim rozmawia. Przytula się do niego, czujnie łowi

każde jego słowo i wybucha nieposkromionym śmiechem po każdym niewydarzonym dowcipie, który on opowie. Nie złości się nawet wtedy, kiedy po pracy Peter wybiera się z kolegami na piwo. To doprawdy głupie, Tacie robiła sceny o każdy późny powrót do domu. Chociaż to pewnie było już wówczas, gdy Tata spotykał się z tą beznadziejną Carrie...

Gdybyście mieli okazję zobaczyć dom mego macocha Petera, nigdy byście nie przypuścili, że jego właściciel jest z zawodu dekoratorem wnętrz i malarzem pokojowym. (Właśnie w ten sposób Mama i Peter Pawian się poznali — Pawian przyszedł pomalować przedpokój i schody Morwowej Chatki; Mama chciała to zrobić sama, ale było dla niej za wysoko, tymczasem Pawian dysponował przemyślnie skonstruowanym rusztowaniem. Życzę mu, żeby któregoś razu podczas malowania pod samym sufitem zrobił o jeden nieprzemyślany krok za dużo). Dom Pawiana przy Albert Road jest rozsypującą się ruderą, do Morwowej Chatki w ogóle się nie umywa i zupełnie nie rozumiem, dlaczego Mama udaje, że bardzo jej się tam podoba. Sama zabrała się za generalny remont i teraz przewraca wszystko do góry nogami, przerabiając ten obraz nędzy i rozpacz na swoje nowe gniazdko.

Nie mam tam żadnego miejsca, które mogłabym nazwać swoją dziupłą. Kuchnia i jadalnia zawsze są przez kogoś okupowane. Mama dzieli sypialnię ze starym Peterem Pawianem, więc ze zrozumiałych względów nigdy się tam nie zapuszczam.

Pawian ma trójkę dzieci: Paulę, Grahama i tę małą zarazę, Katie. Nie darzę cieplejszym uczuciem żadnego z nich, ale myślę, że Paula jest najsympatyczniejsza. Ma czternaście lat, niespecjalnie liczy się ze zdaniem mojej Mamy i dlatego dochodzi między nimi do ciągłych spięć. Kibicuję tym kłótniom z wielkim entuzjazmem, ponieważ mam nadzieję, że Mama straci wreszcie cierpliwość i postanowi się wyprowadzić, a wtedy pozostanie mi już tylko przekonać Tę, żeby opuścił Carrie i znowu będziemy rodziną. Być może odkupimy nawet Morwową Chatkę od jej nowego właściciela, zaczniemy wszystko od początku i odtąd będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Paula ma własny pokój, który od góry do dołu wytapetowała plakatami gwiazd muzyki pop; ma zwyczaj słuchać ulubionych płyt tak głośno, że dom aż drży w posadach. Owszem, Paula posiada specjalne słuchawki, ale umyślnie ich nie używa. To domownikom przydałyby się zatycki do uszu.

Zabawna rzecz, Paula jest taka hałaśliwa, podczas gdy Graham jest najcichszym i najbardziej skrytym chłopcem, jakiego można sobie wyobrazić. Ma dwanaście lat, ale mimo to jestem od niego znacznie wyższa i gdybyśmy kiedykolwiek wdali się w bójkę, na pewno jednym palcem rozłożyłabym go na łopatki. Jednak Graham nie należy do rozrabiaków, jest typem nerwowego, bladoliciego okularnika; najbardziej lubi zamykać się w swojej klitce i zasiadłszy przed ekranem komputera, zapominać o bożym świecie. Jestem przekonana, że któregoś dnia zamieni się w robota. Już teraz jego ruchy są nagłe i urywane, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy Graham się odzywa, jego głos jest apatyczny i matowy, zupełnie jak głos maszyny.

Pokój Katie jest największy i dlatego Katie musi się nim dzielić ze mną. To nie moja wina, wcale tego nie chciałam. Cała sytuacja daje mi się dotkliwie we znaki. Nigdy się nie zdarza, żebym mogła w spokoju poprzymierzać różne ubrania, albo stroić głupie miny sama do siebie, albo pobawić się z Rzodkiewką bez świadków, bo Katie nie odstępuje mnie na krok. Nie mam nawet szans zatopić się w lekturze interesującej książki, ponieważ Katie natychmiast podkręca głośność w telewizorze albo zaczyna mi śpie-

wać prosto do ucha, żeby tylko przeszkodzić mi w czytaniu.

Nie zgadniecie, gdzie się chowam, kiedy szukam odrobiny świętego spokoju. Zamykam się w łazience.

Kłopot w tym, że w łazience nie bardzo jest gdzie usiąść. Na sedesie po dłuższej chwili robi się trochę niewygodnie, a krawędź wanny jest zbyt zimna. Za żadne skarby nie odważyłabym się wejść do wanny, nawet myję się tylko w umywalce, ponieważ Pawian zażywa kąpieli codziennie i za każdym razem zostawia po sobie odpływ zatkany kłębem ciemnych włosów, jak również malutkimi kawałkami tynku i łuskami farby.

Pewnego razu kilka obrzydliwie oślizgłych kłaków Pawiana razem z obrzynkiem jego paznokcia i strzępem brudnej chustki do nosa zamknęłam w pudełku od zapalek, wymyśliłam odpowiednie na tę okazję czarodziejskie zaklęcie i wyrzuciłam pudełko przez okno. Przez cały następny dzień z nadzieją oczekiwałam wieści, że Pawian spadł z drabiny. Nie spadł. Czary wcale nie działają, powinnam była to przewidzieć, przecież już tyle razy wyrażałam życzenie, żebym znów mogła zamieszkać w Morwowej Chatce razem z Mamą i Tatą, lecz jak do tej pory nic się w tym kierunku nie wydarzyło.

Nawet kiedy zamykam się w łazience, nie zawsze udaje mi się skupić nad książką. Dawniej czytałam mnóstwo rzeczy, znałam wszystkie opowiadania z podręcznej klasowej biblioteczki, chodziłam też do prawdziwej biblioteki i miałam własny księgozbiór, liczący prawie pięćdziesiąt pozycji, w tym wiele naprawdę grubych, poważnych, prawie „dorosłych” powieści. Teraz moje książki leżakują gdzieś w jakimś kartonie i nie mam do nich dostępu, a wszystkie opowiadania wypożyczane z klasowego regału i z biblioteki stały się nagle bardzo nudne. Nie mogę wykrzesać z siebie choćby iskry zainteresowania czytaną historią, przez cały czas myślę tylko o Mamie, Tacie i Morwowej Chatce.

Dlatego ostatnimi czasy z upodobaniem sięgam po książki dla prawdziwych maluchów, które czytałam dawno, dawno temu, kiedy miałam lat sześć, siedem czy osiem. Przypominam sobie, jak to było, gdy przeglądałam je po raz pierwszy i czasami sama siebie oszukuję, że znów jestem malutka i że wszystko jest po staremu.

Lecz nawet w ciszy i samotności łazienki nie zawsze mi to wychodzi — i wtedy zaczynam się bawić z Rzodkiewką.

Rzodkiewka uwielbia łazienkę, to jej ulubione miejsce pod słońcem. Nie zapominajcie, że

Rzodkiewka ma zaledwie cztery centymetry wzrostu — umywalka i wanna są dla niej prywatnym odkrytym basenem. Zazwyczaj konstruuje dla Rzodkiewki fantastyczną zjeżdżalnię, wykorzystując w tym celu rajstopy Pauli, których nogawki związują razem i przymocowują do haczyka na drzwiach i kurka od wanny. Ponieważ siedzenie Rzodkiewki nie jest szczególnie śliskie, za każdym razem muszę je uprzednio obficie namydlić, żeby udało jej się zjechać na dół z zadowalającą prędkością. Przy tej okazji również rajstopy Pauli pokrywają się warstwą mydła, lecz tego, niestety, nie można uniknąć.

Oczywiście Rzodkiewka nie gustuje w taplaniu się w gąszczu kłaków Pawiana, lubi natomiast nurkować w umywalce i robi znaczne postępy w skokach z parapetu do wody, niejednokrotnie z saltem.

Kiedy robi się jej trochę zimno, osuszam ją ręcznikiem, a potem Rzodkiewka rozgrzewa się, dokazując na gąbce, która jest jej własną, prywatną twierdzą. Gdy się już zmęczy, najczęściej prosi mnie, żebym ulepiła dla niej bałwana. Przeczuwam, że będzie to przyczyną dużych nieprzyjemności, ale nie dbam o to. Pożyczam sobie należącą do Pawiana piankę do golenia, po czym wspólnie z Rzodkiewką tworzymy

z niej śnieżne zasy i nadajemy im kształt bałwanków. Ostatnim razem trochę przeholowałam. Wyrzeźbiłam bałwankową dziewczynkę i bałwankowego króliczka, a nawet bałwankowy domek. Możliwe, że ten ostatni przypominał bardziej duży kleks z pianki niż domek, ale bałwankowej dziewczynce i króliczkowi naprawdę się podobał. Próbowałam dorobić jeszcze drzewo, ale wówczas pojemnik z pianką wydał z siebie zrezygnowane „pyk” i zdałam sobie sprawę, że całą piankę zużyłam. Prawie pełny pojemnik.

Następnego ranka Pawian okładał swoją klatkę piersiową pięściami i ryczał na całe gardło, lecz Rzodkiewki i mnie nie obeszło to nic a nic.